NAD POZIOMY

ROK IV. LISTOPAD 1935. r. Nr. 2.

Miesięcznik szkół średnich w Chrzanowie.

„Młodości,
ty nad poziomy wylatuj“

A. Mickiewicz.

CENA 25 gr.

NAD POZIOMY

ROK IV. LISTOPAD 1935 r. Nr. 2.

Miesięcznik szkół średnich w Chrzanowie.

Administr.: **Stan. Prokop.** Redaktor Odpow **Prof. Dr. Z. Krawczyński**. Redaktor Nacz. **Stan Janikowski.**

Jesień.

Idzie jesień czerwono - złota
Idzie — wicher za nią w pędy goni,
W tchnieniu śmierci przepych barw migota,
Przepych astrów, dalij, pelargonij.
Czasem słońce przygrzeje jak w lecie
To znów ostry, zimny deszcz zacina,
Szaro, smutno robi się na świecie,
Całą przestrzeń mgła zalega sina,
W lód ścinają się deszczowe krople,
Twarz ostremi kłują igiełkami,
Lub na drzewach zamarzają w sople
I na ziemię spadają z liściami...
Już w powietrzu czuć umarłych święto,
Myśl ku drogim zwraca się cmentarzom,
Gdzie nad darnią spłowiałą i zmiętą
Świec tysiące wkrótce się zajarzą...

* *
*

Pośród ściernisk błyszczy ozimina,
Zielonością świeżą dziwi oczy,
Dawno zmarłą wiosnę przypomina
I z martwotą pól — dziwnie się droczy.
Kiedy śmiercią wszystko tchnie wokoło
Głosi ziemi wróżbę zmartwychwstania,
W górę serca każe wznieść i czoło,
Prawdę życia wiecznego odsłania...

Bo choć w koło szumi smętna jesień,
Chociaż duch się w kraju cieniów błąka,
Wrócą czasy wiosennych uniesień,
I kwiatami okryje się łąka!

A nad zmarłych popioły i kości
Płynie dech nieśmiertelności.

R.

LEGENDA

Gdzieś w głuchej, zapadłej wsi, oddalonej o kilkadziesiąt kilometrów od najbliższego miasteczka, mieszkała staruszka, biedna wyrobnica, Marta.

Zahukana pracą, w ciągłej walce o jutro wyniszczyła swe zdrowie, stargała wątłe siły.

Była ona raczej podobna do cienia kobiety.

Jedyną jej pociechą, jedyną siłą, która trzymała chylące się życie była młoda, bo zaledwie szesnastoletnia dziewczyna. Piękna w swej prostocie, czarnobrewa o smagłej twarzyczce, ciemnych włosach, o figlarnych mądrych oczkach.

W nędzy wychowana, nie wymagała zbyt wiele dla siebie, zadawalała się czemkolwiek.

Widząc smutek matki, ciężką dolę, zmaganie się z nieubłaganem życiem, pragnęła matce jak mogła ulżyć.

Pracowała w najmie, na równi z innemi, chociaż zawątłą była.

W polu przy pracy zawsze pierwsza, gdzie się zjawiła tam wnosiła humor i wesele, kochali ją też za to wszyscy mieszkańcy wioszczyny.

Praca jednak ciągła, ciężka, w warunkach opłakanych, odbiła się na jej zdrowiu.

Zachorowała — cierpiała niezbyt długo.

Niewinne życie — spokojna śmierć.

Z modlitwą do Najświętszej Panny na ustach, zgasł promień jej życia ledwie zaczynającego przedzierać się na świat.

Pozostała sama matka, ze swymi czarniejszemi od nocy jesiennej myślami.

Rozpacz za jedyną niemiała granic, w domu przebywać nie mogła, każdy przedmiot, każde miejsce przypominało jej córkę.

Ciągle miewała złudzenia jej głosu, w cieniu izby widziała jej postać, każde skrzypnięcie drzwi lub obcy głos wprowadzał ją w stan równający się obłędowi.

Rzuciła więc dom swych rodziców, miejsce gdzie się urodziła, wzięła kij do ręki, torbę żebraczą i poszła szukać na swe stare lata obcago kąta, gdzieby złożyła kości na wieczny odpoczynek.

Myślą jedyną wirójącą, nurtującą jej napoły oszalałą głowę, była chęć zobaczenia raz jeszcze córki...

Legendy o zaduszkach i zmarłych przychodziły jej na myśl. I powzięła myśl, którą zachłysnęła się, lecz ziarno raz rzucone na podatną rolę kiełkować zaczęło.

* * *

Nadszedł nareszcie upragniony dzień „Zaduszek". Stara Marta ostatkiem sił dowlokła się do kościoła.

Wieczór bliski już był, weszła, ludzi niewiele modliło się.

Niepostrzeżenie zaszyła się w ciemny kąt, otuliła się chustą, wzięła różaniec do ręki i modląc się wyczekiwała ukryta, zamknięcia kościoła.

Coraz ciemniej, coraz głuszej było w kościele, jakiś chłód niesamowity wionął ze wszech stron. Już dawno wszyscy opuścili świątynię.

Kościelny uderzył trzy razy kluczami w bramę na znak zamknięcia. Nastała cisza grobowa.

Teraz dopiero uczuła stara Marta nieopisany lęk w swej duszy, zdawało się jej, że widzi w każdym załamie widmo bladawe ze szklą-

---

Złote myśli

Człowiek dobry w mętnych dążeń tłumie
Prawdziwą ucieczkę zawsze obrać umie.

Goethe.

cemi oczyma, szczerzące do niej zęby w ohydnym uśmiechu.

Wiedziała również Marta, że na środku kościoła stoi katafalk i to jeszcze pogłębiało niesamowite wrażenie.

Za oknami wicher jęczał, wzmagał się, bił gwałtownie o szyby, wydające przeraźliwe syczenia.

Stara była przesądna, bała się duchów, jednak poto przyszła, chciała widzieć poraz ostatni swą córkę. Drżała ze strachu Marta, wargi latały jej jak w febrze.

Modlitwa żarliwa napółgłośna, dała jej uspokojenie. A zarówno wytłómaczyła sobie, że chyba w kościele szatany jej nie porwią.

Przebiegały tak całe godziny, pomimo, że dodawała sobie otuchy, to jednak za najmniejszym szelestem drętwiała cała, włos jeżył się jej na głowie. Licząc bicie zegara na wieży chciała odsunąć godzinę dwunastą w nieskończoność.

Północ zbliżała się nieubłaganie. Wicher jakgdyby doszedł do kulminacji swej potęgi, targał oknami chcąc je wyrwać z ram, świszczał przeraźliwie w zakamarkach — Marta słyszała piski nietoperzy.

Dreszcz zimny przebiegał jej po całym ciele, chciała uciekać lecz nogi odmówiły posłuszeństwa.

Krzyczeć niemogła również, głos jej własny przerażał ją do ostatnich granic, przerażenie rosło, gorączka wzmagała się z każdą chwilą, strach wyzierał z każdego miejsca, chichotał w wyciu wichru, kłapał zębami w uderzeniach gałęzi o okna.

Nagle wicher, jakgdyby w parokszyźnie wściekłości, targnął całą mocą, okno wyrwał i rzucił na środek kościoła.

Tego już było za wiele na stargane nerwy nieszczęśliwej Marty. Siłą niesamowitą została wyrzocona na środek kościoła.

Przerażenie sparaliżowało jej myśli. Biegały jak nieokiełzane rumaki.

Huczało jej w głowie, kotłowało się.

Młodość — modlitwa — córka — łąki — widma — dom rodzinny — baśń...

Nagle z rozbitego okna, przy mdłym blasku księżyca, zobaczyła rój postaci przesuwających się bezszelestnie. Tłumy duchów. — Przerażona z rozszerzonemi aż do bólu oczyma wchłaniała w siebie niesamowity korowód.

Widziała księdza zmarłego przed laty — organistę, wielu znajomych i krewnych.

Ksiądz przybrał szaty liturgiczne, zagrały organy. Msza święta rozpoczęła się. Duchy ciągle napływały, lecz żaden nie zwrócił uwagi na Martę, zdawały się jej niewidzieć.

Marta w przerażeniu zdrętwiała, usta otwarte, język skołczał, mięśnie twarzowe w okropny grymas pokurczyły jej oblicze, ręce w szpony zaciśnięte, niesamowitość jej postawy wyrażała skrajne załamanie się psychiczne, graniczące z obłędem lub śmiercią Jak długo tak stała trudno powiedzieć.

Wicher na zewnątrz już zupełnie ustał.

Msza święta skończyła się. Duchy w spokoju opuszczają kościół.

Nagle, Marta ku swej niepomiernej radości wśród tłumów spostrzegła córkę, taką jaka niegdyś była.

W jednej chwili powróciły matce siły. Miłość do córki pokonała przerażenie, strach i niemoc. Rzuciła się starucha przed siebie, pragnęła córkę uścisnąć, przytulić, lecz ona jak wietrzna istota wymykała się z rąk matki.

Martę to dziwiło, a zarazem przerażało.

Córka spokojna piękna w swej cichości wskazała ze smutkiem na konwie ogromne pełne wody.

Biedne matczysko pytało niemo córki co to znaczy.

To łzy twoje matko muszę dźwigać.

„Nierozpaczaj ty po mnie bom ja szczęśliwa“

I, w tej chwili zwaliła się nieszczęśliwa matka całem ciężarem swego wątłego ciała na ziemię.

Wszystko znikło, duchy, rozpacz, nadzieja

Matce pozostał tylko niczem nieutulony żal.

* * *

Rano kościelny otwierając świątynię Pańską, spostrzegł ku swemu przerażeniu na środku kościoła, trupa kobiety.

Biedna Marta.

S. P.

Złote myśli.

Żyć to nie znaczy wcale iść przez róże
Sięgać po laury i oklaski
Żyć — to znaczy przetrwać wszystkie burze
Dążyć gdzie świecą ideałów blaski.

Krasiński.

W rocznicę wolności.

Myśmy już w ciszy grobów szukali
Niewoli końca —
Myśmy w rozpaczy pragnąć przestali
Światła i słońca . . .

Tylko iskierka wiary w nas była,
Po cierpień latach —
I dusza nasza tylko się kryła,
Po cudzych światach. . .

Próżnośmy rwali kajdan ogniwa —
Znów się ściągały!
Ofiar tysiące, miłości dziwa,
Darmo wołały. . .

Jednak nareszcie nadszedł dzień cudu—
Pękły kajdany!
Bo cierpiącego owoc to ludu :
Żyją Polany !

Sztandar twój, Polsko, znakiem zwycięstwa
Niepokalany!
Przed nim się korzą synowie męstwa —
Chłopy i pany!

Wstawaj do czynu, Matko wolności,
Przyszłość przed tobą!
Zamień łzy bólu dziś w łzy radości,
Bądź zawsze sobą!

J. W.

Niezwykli żeglarze.

Nazwiska takie jak Slokum, Voss, lub Gerbault, nie są wszystkie znane. O ich wyczynach żeglarskich wiedzą nietylko wioślarze i żeglarze, lecz szeroka publiczność, a nadewszystko młodzież, czytając opisy ich niezwykłych podróży. Niejednemu zdaje się, że takich śmiałków, którzyby samotnie puszczali się na łodziach na niezmierne przestrzenie Oceanów, nie ma więcej.

Tymczasam tak nie jest.

Wielu ludzi puszczało się na wielkie podróże morskie, czyto w chęci pobicia rekordu, czy wygrania zakładu, czy też w celu zaspokojenia własnej chęci czynu, czy wyładowania swej energji.

Slokum, Voss, Gerbault są znani najwięcej, gdyż oni swe podróże wyzyskali literacko,

Złote myśli.

Dusza ludzka jest tak oplatana ciałem jak Laokon wężami. Radaby wzlecieć lecz do ziemi ciągną ją zmysły i pragnienia doczesne.

M. Rodziewicz.

bo oni dokonywali tego w istocie niezwykłego czynu: opłynięcia ziemi dookoła świata. Na jakie niebezpieczeństwa się narażali, zdawali sobie z tego dobrze sprawę, zwłaszcza dwaj pierwsi, gdyż byli ludźmi starymi, (około sześćdziesiątki) a nadto doświadczonymi marynarzami, którzy przez lata całe dowodzili wielkiemi żaglowcami na morzach całej kuli ziemskiej. Gerbault zaś jest sportowcem, który żeglugi pełnomorskiej nauczył się w swej pięcioletniej podróży naokoło świata.

Wiedzieli oni, że nawet dając sobie radę samotnie z prowadzeniem statku i manewrowaniem żaglami, potrzebują snu. Będąc samymi na pokładzie zmuszeni byli zostawiać statek swój na los szczęścia fali. Mimo to unikali zawsze dróg uczęszczanych przez parowce, często jednak na nie schodzili. Świat jest małym! Slokum w swej drugiej podróży został zdaje się rozjechany, a Gerbault w drodze z Nowego Jorku do Panamy o mało co nie uległ temu samemu losowi. Nie wspominam już o tem, że trzeba być zatwardziałym mizantropem, by módz znaleźć przyjemność w przebywaniu przez miesiące całe bez widoku ludzi, bez możności przemówienia słowa do kogo innego niż do siebie samego. Na mniejsze dystanse, jak np. Ameryka — Europa wypływa co roku cały szereg małych żaglowców.

Niektóre z tych wypraw odbywały się na tak małych, lub tak oryginalnych stateczkach że warto je tu wedle źródeł angielskich wyliczyć.

Pierwsza podróż Slokuma dała początek epidemji podobnych podróży.

Już w 1878 r. płynie „Nautilus" statek dłuości 7 metrów pod dowództwem „kapitana" W. Andrewsa (w „cywilu" stroiciel fortepianów), w towarzystwie swego brata, przybywa szczęśliwie po 45 dniach podróży do brzegów Anglji. Wszystkie te wypady morskie odbywają się w kierunku Ameryka — Europa. Jest to kierunek nakazany przez wiatry w północnych szerokościach wiejące. W r. 1891 zakłada się z Lawlotem o tysiąc funtów. Obaj wyruszają żaglówkami nie dłuższemi jak 7 metrów.

Złote myśli.

Kobieta jak roślina, jeżeli nie może róść do góry zaczyna pełzać po ziemi.

H. Sienkiewicz.

Anbrewsa ratuje na środku Atlantyku, przechodzący parowiec Lawlot osiąga Lands Eud po 43 dniach podróży z Nowego Jorku.

W r. 1892 stają obydwaj znów do zawodów. Anbrews łodzią składaną tylko 5 m. długą, Lawlot zaś małym żaglowcem „Krzysztof Kolumb" Ten ostatni ginie bez wieści. Andrews dobija Palos po 35 dniach drogi. Andrews jeszcze kilka razy próbuje przebyć Atlantyk, lecz bez powodzenia. Ostatnim razem 4 metrową łodzią „Dorée" Na tą podróż bierze ze sobą swą żonę. Obydwoje jednak przepadają bez śladu.

Blakburne , stary wilk morski przepływa Atlantyk samotnie dziewięcio-tonowym żaglowcem „Gret Western" w r, 1893 w 59 dniach.

W r. 1901 przepływa do Lizbony w 38 dniach. W dwa lata później puszcza się znów małą otwartą łodzią na ocean ale musi zawrócić. Wiele z tych podróży kończy się tragicznie.

W r. 1895 ośmio-tonowy „Sorodant" ginie bez wieści. Następnego roku Fntsz przybywa do Irlandji w płaskodennej łodzi w 38 dni.

W tym samym roku Bradly przypływa do Dower na 5 metrowej łodzi, przebywszy szczęśliwie Atlantyk W podróży towarzyszyła mu żona.

Była to ich podróż poślubna.

Również szczęśliwie przebywa Atlantyk Krapo wraz z żoną na „Nim Bedford".

Oryginalnym był statek „Non pareil" Mika. Kadłub tego statku tworzyły trzy walce gumowe. Nad niemi na rusztowaniu znajdowała się kabina. Przybył on do Anglji z Ameryki w 43 dni. Jak zaznaczyłem wszystkie te wyprawy odbywały się w kierunku z zachodu na wschód. W przeciwnym kierunku żegluga jest o wiele trudniejsza. Żeglarz chcąc wykorzystać passat, musi naddać ogromny kawał drogi. Musi płynąć aż do wysp Zielonego Przylądka na południe, by przez Antylle posuwać się znów na północ.

W 1900 r. siedmiometrowy „Jól" przepłynął z Anglji do Nowego Jorku, mając jako załogę dwu ludzi. Miał on też śrubę poruszaną rękami. Podróż ich trwała całe 3 miesiące. Przez 35 dni pracowali rękami, jako motor.

Nadzwyczajną jest historja w 1896 r. Graniczy ona z bajkami. Harlo i Samnelsen przepłynęli ocean w 18 stopowej wiosłowej łodzi. Jazda ich trwała 55 dni. Wykluczonem było,

by na swoją łupinę mogli zabrać zapasów i wody na drogę. Wedle relacyi statków, które spotykali po drodze, zaopatrywali się podróżnicy w żywność kwestując u kapitanów. Trzymali się ściśle drogi statków i byli w ten sposób pewni, że nie zginą. Była to prawdziwa podróż o proszonym chlebie.

W ostatnich czasach powstał jeszcze jeden typ żeglarzy. Są to ludzie zniechęceni stosunkami w t. zw. świecie cywilizowanym, którzy tam gdzieś za morzami, na jakiejś samotnej wyspie oceanu chcą znaleźć szczęście, jakie daje spokój. Piękność i łatwość życia na niezliczonych wyspach Polinezji pociąga wielu.

Co rok słyszymy o ludziach, którzy mając dosyć naszej osławionej europejskiej „Kultury“, naszego niepokoju, bezustannej walki o byt, płyną w te tak dalekie strony, by tam pozostać na zawsze.

I nie dziwię się im.

Trudno nie marzyć o tych stronach świata, gdzie życie jest łatwe, gdzie znaleźć jeszcze można spokój, gdzie powitaniem jest słowo „aloha“ kocham ciebie. .

Marjan Myczkowski.

Poszukiwacz tematu.

Na polu noc głęboka, bez gwiazd i księżyca. W pokoju przy lampie siedzi literat — kandydat na wielkiego człowieka.

Palce wpił w olbrzymie czarne włosy, oczy zamknął i myśli.

O czem tu pisać, aby dać światu coś całkiem oryginalnego i nowego!

Przeklęci ludzie! Wszystko już przed nim zrobili. Jakąkolwiek książkę przeczyta, zdaje mu się, że to on właśnie powinien był pierwszy wpaść na jej pomysł i stworzyć ją.

On się urodził na genjusza samodzielnego i gotującego drogi — i tylko dlatego skłonił się do pisania, że przeżył wszystko to co było i co jeszcze być może!

Pisać nie zacznie, póki nie pozbędzie z myśli wszelkich reminiscencyj i wzorów obcych.

Lecz o czem ma pisać?

Zacisnął palce literat i targał bujne kędziory aż do korzeni, osłabiając cierpienia biednego mózgu, cierpieniami naskórka, czaszkę otaczającego.

Wszystko już podpatrzyli, wszystko stworzyli! W podniosłych dramatach i epopejach odtwarzali życie królów i rycerzy, w powieściach objęli świat c a ł y, wszystkie stany, wszystkie obrazy ż y c i a i natury; wyczerpali wszelkie fabuły od zawikłanych do prostych; obok szalonych skoków wyobraźni lśniącej i różnorodnej jak mozajka opisywali rzeczywistość, życie realne i powszednie.

Podchwycili rysy charakterystyczne wszystkich rodzajów ludzi, ich obyczaje, wrażenia, myśli i narzecza. Wyzyskali wszystko, co świat może dostarczyć oku obserwatora.

Przeklęci ludzie!

Poco ich tylu żyło! I tylu utalentowanych! Gdziekolwiek myśl śmiała się rzuci, wszędzie napotyka poprzedników — opada wściekła i staje rozczarowana, jak turysta, który po trudach zdobywania szczytu, którego jak mu się zdawało nie tknęła stopa człowieka, a na którym nagle spostrzega ślady jego pobytu. . .

Nawet epopeje zwierzęce pisali! Wdzierali się w głąb morza i na gwiazdy!

Cóż ma napisać?

Możeby powieść współczesną, w którejby głównym bohaterem był zamiatacz bruków miejskich — może nikt jeszcze na to nie wpadł?

A któż wie czy nie wpadł? Przebieraj w miljonach książek i szukaj!

Możeby przewyższyć śmiałością wyobraźni mitologję starożytnych Greków i tworzyć niesłychane potwory, składające się z większej jeszcze mieszaniny gatunków w jednem ciele.

Np.: kozi pysk z rogiem na nosie, z oczami sowy, nogami krowy, skrzydłami cietrzewia, ogonem pawia, tułowiem pelikana — baby, w rozmiarach słonia, z głosem dziecka, wydobywającym się z drugiej paszczy, umieszczonej u boku tułowia, podobnej do pyska mopsa i t. d. i t. d.

Cóż to za potworność — a jednak ory-

Złote myśli.

Z zakochanymi istne mam skaranie
Toć oni słońce, gwiazdy w jednej chwili
Dla lubej swojej z dymem-by puścili.

Goethe.

ginalne!

Ze zniechęceniem wstrząsnął literat kędzierzawą głową... wszak piękno fantazji greckiej polega na harmonji i umiarkowaniu — które tak dziwnie ponętnie działają na umysł człowieka i nie rażą go. A tamto — jedno głupstwo uśmiechu nawet nie warte. A nużby spróbował pisać księgi fantastyczne, przewyższające blaskiem drogocennych klejnotów — osłowione opowieści Szeherezady?

Będzie tworzył djamenty wielkości kamienic i każe się ukazać ptakowi — skale, który będzie większy od największych gór na świecie, a zamiast pałacom, każe wędrować powietrzem całej kuli ziemskiej!

Znów przesada nie dozwolona w bajkach nawet dla najmniejszych dzieci!

Rozwinie dalej pomysł Swifta i każe podróżować liliputom w kraju olbrzymów!

Jak się ułożą ich stosunki?

Ale nie, on tego nie uczyni, to dobre dla partaczy i mniej zdolnych od mistrza, epigonów.

Możeby pisać bajki dydaktyczne w rodzaju „wędrówki mrówki" wśród trawy która jest dla niej lasem dziewiczym, lub „podróż kropel wody" od źródeł, aż do morza? — to temat dla dobrodusznych pedagogów! Badać głębię myśli, tragedję dusz, zmagania się namiętności, cierpienia dociekającego mózgu w trybach metafizyki, choroby, zboczenia, wojny? — wszystko to już było!

Przeklęci ludzie! — Odjął ręce literat od rozpalonej głowy, cisnął piórem, lampę zgasił, położył się i zachrapał wnet, snem uspokojonego na jakiś czas człowieka...

W.

PIERWSZA WSPINACZKA.

Przez trzy dni lał niemiłosiernie deszcz. Zrezygnowany chodziłem po „Murańcu" na Hali Gąsienicowej, szperając po wszystkich kątach, aż zawarłem znajomość z pewnym turystą doświadczonym taternikiem, który szukał partnera do spinaczek. Zwrócił się do mnie, proponując północną ścianę Buczynowej Turni lub Świnicy: pomyślałem sobie „Źleś trafił" i szybko ostudziłem jego zapał, bo nie miałem kwalifikacji na takie wyprawy. Wobec tego mój znajomy postanowił pokazać mi tajniki wspinaczki i oświadczył gotowość przeprowadzenia mnie na grań „Fajek". Jest to mała grań, w skali taternickiej „dość trudna", między Żółtą Turnią a granatami, na której często stawia się pierwsze kroki wspinaczkowe. — Zgodziłem się.

Nazajutrz jakby na zamówienie piękna pogoda. Pakuję do plecaka trampki, trochę jedzenia i wyruszamy. Po drodze zapoznaję się z głównemi zasadami asekuracji linowej i patrzę trochę nieufnie na małą, poszarpaną grań. Od Czarnego Stawu pniemy się stromo do góry. Mój towarzysz pokazując mi groźną, stale mokrą, północną ścianę Koziego Wierchu i opowiadając kto się już na niej zabił wyciąga syrenę i mówi z największym spokojem „na wszelki wypadek". Pomyślałem sobie „nie kracz - żeby cię....

Tak dochodzimy na Żółtą przełęcz pod grań: z jednej strony cała Hala Gąsienicowa z otaczającym ją łańcuchem masywów skalnych, które ponarzynane zaśnieżonymi żlebami mienią się w słońcu, z drugiej Koszysta, Orla Baszta, Buczynowe Turnie, a w oddali wyniosłe grzbiety Tatr czeskich.

Zachwyt mój przerywa towarzysz: „ściągać buty i wdziewać trampki".

Chowam więc podkute buty do plecaka, wiążemy się linami i naprzód! Mój towarzysz idzie pierwszy, asekuruję i zadaję sobie pytanie, poco go ubezpieczam, gdy on spaceruje sobie po grani. Przyjemnie było patrzeć, jak zgrabnemi, pewnemi ruchami pokonywał przeszkody. Teraz kolej na mnie. Ostrożnie posuwam się naprzód

Złote myśli.

Szpak, choć w klatce życie woli,
Lecz dla orła śmierć w niewoli.

W. Seotl.

-cała moja uwaga skupiona jest na tem, aby znaleźć dobry uchwyt na ręce, stopień na nogi. Dochodzimy na wązką przełączkę skalną mój towarzysz odczytuje mi z przewodnika dalszą część opisu drogi. Trzeba zejść z grani skośną rysą, a potem powrócić na grań przez wystający próg i „w decydującym momencie chwyt“. Po chwili pozostaję sam, bo mój przewodnik przeszedłszy próg znika za nim i widzę tylko linę, która nas wiąże. Stoję nad „rysą“ nad kilkudziesięcio metrową ścianą skalną wyłożoną u stóp jakby specjalnie kamiennemi płytami „dla wygody P. T. turystów“ i jest mi trochę nieswojo.

Odwagi dodaje mi głos towarzysza: powoli spuszczam się rysą i dochodzę do progu. Okraczam go - „w decydującym momencie chwyt -przebiega mi przez myśl, a ja nie mogę na niego natrafić. Wisząc nad przepaścią, gorączkowo przesuwam ręką po skale mięśnie drżą od wysiłku. Wtem słyszę „w dół na lewo“! Jeszcze chwila i jestem obok towarzysza, który ze spokojnym uśmiechem chwalił tę rysę jako dająca nieco emocji.

Drugiem podobnem przejściem była ściana, na której zaczepiony na rękach, asekurowany od góry, nie mogłem znaleźć początkowo oparcia dla nóg. Wreszcie stoimy przy końcu grani, opadającej na przełęcz Pańszczycką kilkumetrowym pionowym uskokiem, który pokonuje się za pomocą zjazdu na linie. Mój towarzysz zaznajomiwszy mnie z t. zw. kluczem umożliwiającym zjazd zaczepił linę w połowie jej długości o wystającą część grani i do końca zwiesił w dół. „Klucz“ okazał się pierwszorzędnym wynalazkiem, albowiem spokojnie i powoli, zjechałem na dwóch końcach na przełęcz. Grań była zrobiona zwinęliśmy linę, przebraliśmy buty i posiliwszy się udaliśmy się na Granaty.

K. C.

Kochaj i wierz!

Kochaj i wierz! gdy cisza w krąg panuje,
A w duszy Twej radosne struny drżą —
Gdy szczęścia sen promienny ci się snuje,
A oko lśni, lecz lśni radości łzą.

Kochaj i wierz! choć chmury ćmią błękity
I serce twe krwawiący zrani grot —
Choć życia szlak, tak ciemny i zakryty,
A z dłoni twej, wypadać zda się młot.

Kochaj i wierz! choć burza rozszaleje
I duszę twą rozpacznych myśli rój
Omiota w krąg... choć zwiędną twe nadzieje
Kochaj i wierz! na posterunku stój!

I mocą swą wewnętrzną łam przeszkody
I naprzód idź — w idei świętej blask
W patrzony w zwyż, o bojowniku młody,
A z mroków wnet ukarze ci się brzask.

A jeśli grób otworzy swe ramiona,
Nieugiętą weń zwycięską głowę złóż,
I w przyszłość wierz, bo przyjdzie wymarzona...
Bogiem — twój grób, — zwiastunem złotych zórz.

Z. Łysakowska.

Poświęcenie nr. drugi
czyli
Pomarańcze.

Was unsterblich im Gesang soll leben
Muss im Leben untergehen.
Fr. Schiller.

„Co ma ożyć w pieśni niech zginie w rzeczywistości"—nie mówię, by już poświęcenia dla „miłości" miały zginąć, ale chcę przez to powiedzieć, że to moje „poświęcenie". a raczej pobudka, uczucia, jak zżółkłe liście na jesień opadły, a wiatr świszczący rozniósł je na bezdroża i daremnie szukałbyś ich, zginęły gdzieś w świecie—przepadły.

I właśnie teraz gdy ostygły zupełnie i stałysię lodowate, jako zbliżająca się zima, mrożące szronem i niechęcią, teraz ja je chcę wyciągnąć z przeszłości, ukazać w całej kwiecistej pełni, całej swej zdolności do poświęcenia. Były gorące a przecież był to jeszcze luty.

Sięgnijmy kilka miesięcy w stecz. Ostra zima pokryła śnieżnobiałym całunem stroskaną ziemię, i zdawało się. że jej tak dobrze być musi, a słońce przędło się nieskończoną ilością barw w kryształach śniegu i wlewało życie w oszronione drzewa, a one stały osamotnione, jakby senne przykryte ciepłym puchem.

Na Kowańcu było wesoło, Gromada beztroskich chłopców na kursie narciarskim bujała po zaśnieżonych polach. zażywają w całej pełni życiodajnego słońca, ostrego, mroźnego powietrza Tu była dopiero szczęśliwa. Swoboda, ruch przebywanie na łonie natury, zespolenie się z nią a przez jej piękno i niepojęty urok, poznanie wszechpotęgi Stwórcy napawało ją siłą, chartem ducha i radością życia I żmudne podchody, zmaganie się z terenem, a potem zjazd, pęd, a czasem na końcu „sitzjana" — wszystko to miało swój urok. A wreszcie objad.

Wśród tej gromady dość licznej bystre oko obserwatora rozróżniło jedną grupkę rozmarzonych Patefon prygrywał smętne melodje, a oni kołysali się i oderwani od świata żyli życiem innem, może podobnem, do muzyki patefonu. Gdy świszczał wiatr, mieli natchnienie brali pióra i pisali długie listy pełne rozlanej melancholji takiej niewyraźnej jak muzyka patefonu. Gdy czasem zajaśniało słońce i świat cały śmiał się, radował i był taki piękny, oni odczytywali otrzymywane długie, długie listy, czytali je po kilka razy, aż do znudzenia — tak nudno jak chrapliwa płyta patefonu.

Jeden szczególnie był zakochany. Czy to w dzień, czy o zachodzie, czy nawet, gdy noc rozpostarła swe opiekuńcze skrzydła i wszyscy posnęli snem sprawiedliwych, on czuwał, roztapiał się w marzeniach oparty na krawędzi łóżka i myślał, a myśli musiały być głębokie, bo zmarszczył czoło i oczy utkwił w jeden punkt Potem zrywał się chwytał pióro i chciał pisać. Napisał, przekreślił i znowu myślał i zmuszony był nakręcić chrapliwy patefon. Śnił, że tony muzyki po uśpionych polach popłyną i złączą się z innemi dźwiękami i dadzą piękną harmonję, pełną radości życia. pełną uczucia nieopowiedzianego i stworzą coś co będzie zrozumiałe jemu i Jej.

W małem miasteczku, w cichym domu, gdy wszyscy spać się pokładli Ona zasiadła do fortepianu i gra. Nie może spać co więcej nie może się uczyć, przeto gra. A z pod jej palców płyną tony tak rzewne, tak smutne, a jednak tak pełne mocy, tryumfu, że popłynąć zdolne, hen — na Kowaniec i złączyć się z marzeniami i rozedrgać stunę serca, a potem rozpłynąć się w wyższej symfonji.

Przeminął szybko czas wypoczynku i narciarze muszą wracać do obowiązków ciężkich a czasem przyjemnych. Nadeszła niedziela, dzień odjazdu. Słońce świeciło tak dziwnie smutnie !

Złote myśli.

Dziś wyszedł błazen z mody, skoro
chce mędrzec być półgłówkiem,—
lecz jakoś idzie mu niesporo
błazeńskim machać słówkiem.

Schakespeare.

śmiało się przez łzy, a dzwony kościelne rozbrzmiały pieśnią i popłynęła w dal, aż utonęła w mrocznych lasach gór.

Godzinę przed odjazdem ów zakochany Stanisław otrzymuje przekaz — „Pomarańcze posyła Ona" Stanął jak wryty .„Pomarańcze" — wycedził z ledwością, a twarz jego rozpromieniła się takim szczęściem, taką niebiańską radością, że zdawał się być przeniesiony do S. . . . y.

Pomarańcze . . . ! nie chodzi mu tu o ten konkretny wyraz. ale otrzymał je od Niej. Chwila a oblicze jego zasępiło się złowrogo . . . pomarańcze muszą pozostać tutaj, nie może ich zabrać ze sobą, gdyż odjeżdża. O tragedjo! Jakiś zimny, obojętny jak głaz, głupi urzędniczyna na poczcie zje je z apetytem, a jemu się serce kraje, ... od Niej.

A Ona je kupiła za bilet szkolny, a potem musiała brnąć w śniegu sześć kilometrów z beretem naciśniętym na uszy, przyśpieszała kroku, by zdążyć do szkoły . . .

Tak to podobno było.

Janowicz.

Wspomnienie.

Smutna ponura jesień już rozpostarła w całej pełni swe królestwo nad ziemią

Ciężkie mgły wlokły się po łąkach, polach. Jakaś niewypowiedziana melancholja ogarniała świat.

Wicher zawodząc w śród drzew, odrywał ostatnie liście i unosił je het, gdzieś daleko.

Nawet zachodzące słońce nieświeciło tak jak zwykle — Patrzało smutno, rzucało czerwone blaski, jakby na pożegnanie układającej się do snu naturze

Pamiętam jak dziś — Zaduszki. — Cmentarz pod osłoną szumiących na poły odartych z liści drzew, przysypany złotem listowiem Wypełniony po brzegi ludźmi, światłami, krzątaniną. przedstawiał, nader nie harmonizujący z ciszą cmentarną obraz.

Każdy dzisiaj spieszy tutaj ma bowiem albo krewnych, czy też znajomych a może przyjaciół, przyszedł ich odwiedzić przyniósł im kwiaty wieńce i modlitwę

Groby przybrane troskliwą ręką rodzin, wyrażają pamięć i miłość żyjącym ku umarłym.

W wieczorowej mgle błyszczą się światełka wśród grobów jak gwiazdki; a wokół nich postacie najbliższych.

Lecz są i inne groby opuszczone, zapomniane przejmujące dreszczem, chłód lodowaty od nich wieje. Zamykają one w sobie tajemnicę wieczności.

Smutek ich i tajemniczość udziela się przechodzącym. Twarze skupiają się, znać w nich zastanowienie i niezrozumiały lęk. Stanęłam w pobliżu tych grobów; smutek ich i opuszczenie, oddziałało i na mnie.

Patrzyłam niespokojnie na pobłyskujące światełka świec przykówających dziwnym wzrokiem. Stałam obok długą chwilę, a czas uciekał tak prędko. Wodząc niepewnym wzrokiem po grobach spostrzegłam opodal mnie tuż przy pomniku klęczącą staruszkę, powierzchownością swą i zachowaniem ogromnie ujmującą

Siwiuteńka o twarzy łagodnej, spokojnej o oczach wyrażających bezgraniczną miłość i zatopienie się w modlitwie. Zaciekawiona, a bardziej ujęta tym widokiem, podeszłam niespostrzeżenie ku pomnikowi na którym umieszczobyła podobizna młodego człowieka a obok krzyż „Virtuti Militari".

Ofiara wojny — cichy bohater — co za swą krew nie żądał zapłaty.

Położył swe życie na ołtarzu Ojczyzny, dla odkupienia nas z niewoli — . . .

Widocznie to matka modli się za duszę ukochanego syna — . . ,

Któż go jej wróci ? —

Czy ona żałuje takiej ofiary ?

Napewno nie, bo dobrą musi być Polką .—

I było nam razem niewypowiedzianie do-

Złote myśli.

Motłoch jest potężną siłą, a jednak tak łatwo go zdobyć, wystarczy trochę słów, gestu, a w najgorszym już razie fałszywych łez, lub skrwawiony płaszcz Cezara.

Janowicz.

brze, chociaż ona niewiedziała o mojej obecności Myśli moje zgłębione w różnych przypuszczeniach skoncentrowały się w jednym przebłysku.

„Wieczne odpoczywanie racz im dać Panie“ Bo iluż to synów dobrych, miłujących Ojczyznę, pokładło kwiat swego życia na stosie sprawy? Ileż to grobów drogich przytuliła ziemia do swego łona?

Ileż to matek opłakuje swoje bezpowrotne szczęście — dzieci?

Lecz ofiara dla ojczyzny nigdy nie jest zawielką Ciemność coraz bardziej ogarniała cmętarzysko, ludzie spiesznie opuszczali krainę śmierci. I ja niechcąc mącić podniosłej chwili ciągle modlącej się staruszce, jak niespostrzeżenie przyszłam, tak oddaliłam się. Została sama z myślami o synu.

Wychodząc z cmentarza, spostrzegłam na murze krwawych blaskach lamp napis;

Gdyby łzy nie wysychały
Źródło łez by z nich powstało
Bohaterom, pomnik cały
Miast kamienia by oddało.

Janina Proskowiecka.

Jak konsymilijorz chorości sukoł.

Roki bedom, o! bo bedom siómne: Siemdziesiąt dwa lebo trzi, na Jakûba; nie bocem dwa, lebo trzi? Moja Wikta be lepiej wiedzieć jako jo.

Wse zdrowy, nijakie cary, ani chorości zdrowy od dziecka.

Jaze tû kiesi w połednie, na polanie, prawûsinki owce spędzili w kosor, cosi mnie zębiska pobolèwać zaceny; bolom i bolom-— a tu robota ceko. Nie wiele myslęcy ślazujem dołû dûdomû w Kowaniec.

Dobrze, niebardzo.

W biołej izbie, na lato, siedzi û nos pon, Konsymiljorzem go wołają. Jakisi cûdacny ten pon: W biołèj kosûli chodzi, samo tak jak moja Wikta, tylko zapinanej na grzibiecie na wstązki, na lewej rency krziz, cyrwony, pièkny krziz — zasie na piersi kiesonka, w nièj kielûsek, corny kielûsek składany. Dy i û nos, u Mietka, przy „Amerykance“ kielûski som jest, śklane, cornych nièma, ani składanych.

— Do niego — pado Wikta — musis iść. Ucony człowiek, pewnikiem ci poredzi.

— Rzeke: nie pûdem.

— Ba pûdzies!

— Nie!

— Aj, basamteremtete sto djasków zjadło! Jo ci się pytom, po dobroci: pûdzies, cy nièl

— Kie tak pièknie pytos, to jûz idem.

— Bo to — wiècie? — z babami dûzo ukwalować nie zdoles, sparty naród, lo świętego spokojû robis sytko, lebo piekło doma.

— No tok i poseł. Pûko w drzwirze.

— Prose — cosi odpedziało z izby.

— Pofolony! —rzeke —uhylajęcy drzwirze.

— Dzièń dobry! — pado pon w kosuli z cerwonym krzize na rękawie

Je kiz ci fras?! — Dy sytkè godajom ksiądz kanonik s jambony, a i ûcyciel w skole ze kie pofolis Pana Boga to ci „Na wieki“ prziświacyć powini.

— Wiècie panie — rzekem do niego — moja Wikta godała, żeście ucony i że na chorościach sie znocie. Tozto pilno prziselem, cobyście mnie zwypobzèrali i naści ten chorość. Jak nie zdolecie to trza be iść kanvndziej do Styrcule, lebo Felinej „za Wyzyski“, pod Waksmûńdziańskie, ocynią cary, zielami.

— Coz to wam gospodarzu brakûje?

— Tozto niewiem. Wyście, panie, ûcony,

Złote myśli.

(Błazen w „Królu Lyrze“).

Awięc uwaga, wujaszku:
Mniej, niż masz, sąsiadom zwierz
Mniej powiadaj, niźli wiesz
Mniej pożyczaj, więcej bierz,
Gdzie chcesz iść, tam konno spiesz.
Ucz się więcej, a mniej wierz,
Zbyt wysoko grać się strzeż.
Porzuć myśli o dziewczynie i o winie
I siedź w domu przy kominie
A zobaczysz, że dwanaście
Zawsze jest w tuzinie.

Schakespeare.

toście lepiej wiedzieć powinni, jako haw jo. Neć pado pote ten pon, coby sjąć kosûle i legnąć mu na kanapie. Z kiesonki zaś, z kosûle, wyjon ten kielûsek, poskładoł, przиłozeł do ziober i pado:

— Nie dychać!

— No tok nie dychoł.

— Dychojcie!

No tok znowa dychoł. I tak z pore razy. A — wiecie — tym kielûske, co go w kiesonce mioł, przikłado, pucy i cosi słûcho. Ucho przиłozèł, nei komandèruje: dychać, pote zaś nie dychać.

—Tû—pado— zdrowe. Cos wom brakûje.

—Nie wiem; ûconyście jest, lepièj wieciè jako jo. — Sûkojcie.

Kozoł pote siednąć na stołku. Som zaś poseł ku sklanèj sofece, we ftorej seliniejakie mioł rzeci: noze, drûciki, nożycki małe, wielgie, klyscyska, różności. Wyjon — wiecie — przeźrotko na drucik i lotem przeźrotke zacon sûka po zembiskach, pûkać zazierać, onacyć po kufie. Kie juz zwypoobzieroł dokûmentnie, poseł znów do sklanej sofecki i wzion klyscyska takie, jakiè mi gwoździe u nos ucinajom. Bo hoćkie gwóźdź jest przidłûgawy, to go uciąć trza, by z drugiej strony nie wyseł.

Wzion te klyscyska do ręcy, wraziêł do kufy, hyciêł cosi i kie nie siepnie!! Widziało sie, ze koniec świata! Gwiozdyk sytkie widzioł, hoć słonko świèciło — a klincyska mioł trzi calowe, ten ząb.

— Ten? — pado pon w kosuli

Niè — rzeke — nale sukojcie.

Znow zacon sukać tym przeźrotke, klepać, pukać. I znów te klyscyska. Jo juz wiedzioł co bedze, ale! dy to przecie ucony pon, wie co robi. Wraziêł je do kufy, hyciêł i trzymie pado ze nie puści. Se myśle, dobrze niebardzo, trzim, kieś taki sparty. Doreśty siepnon i samo tak jak przodzi: sytkie gwiozdy w bioły dzień. Korzeniska beły teroz dwa, calowe.

Ten? — pyto sie pon

Niè! — rzekem — nale na dziś be dość.

Gazda.

PODZIAŁ ZIEMI.

(Z Fryderyka Schillera)

Potężny Zeus z tronu niebieskiego
Zwołał do siebie biedny ziemi lud;
Niech każdy bierze, co zechce, dobrego,
Czemby wypełnił życia ciężki trud.

Byle najprędzej, z każdej świata strony
Zbiegli się ludzie, mienia chciwi, wraz:
Rolnik zagarnął dla siebie zagony,
A szlachcic zabrał pełny zwierza las.

Kupiec chciał wszystko, choćby odrobinę,
Pleban win starych, bo nie jest im wróg,
Król przedewszystkiem dla się dziesięcinę,
A potem żądał i mostów i dróg.

Już dosyć dawno po podziale ziemi
Ktoś tam do nieba zakołatał bram;
Człowiek już rządził dobrami wszystkiemi,
Tylko pozostał on, poeta sam.

„Biada mi, o mnie całkiem zapomniano" —
Uderzył skargę w rozpaczliwy ton.
„Tylko poety zostało mi miano" —
Tak drżący stanął przed Jowisza tron.

„Tyś gdzie zabawiał w kraju złudnej mary"
Zaczyna Zeus. „Tyś o szczęściu śnił
Gdzieś był, gdym ziemskie rozdawał obszary?"
„Jam", odpowiada „tu, przy tobie był".

„Na twem obliczu spoczęły me oczy,
W harmonji niebios zatopiłem słuch,
Przebacz! jeżeli w kraj światła uroczy
Z szarej niziny uleciał mój duch."

„Świat rozdzieliłem, nie mam nic dla ciebie,
Świat dałem ludziom, on już nie jest mój.
Ty wiecznie ze mną żyć możesz, tu, w niebie,
I natchnień czerpać niewygasły zdrój."

Janowicz

Kilka słów o Hermanicach.

(Dokończenie)

W dzisiejszym numerze „Nad Poziomów" kończę opis moich wrażeń z obozu hermanickiego. Muszę przyznać, że niebardzo się przemęczałem ale z drugiej strony dodam, że aby dać Wam Szanowni Czytelnicy dokładne wyobrażenie tego cośmy użyli — trzeba nielada talentu pisarskiego,na który mnie niestety nie stać. Ale tak po prostu, przedstawię Wam jeszcze najweselszy moment z życia obozowego, t. j. nocny alarm. Jest to druga z rzędu „męczarnia obozowa", o której odwrócenie modliliśmy się w trzeciem wezwaniu litanji do pana porucznika. Widocznie jednak źle się modliliśmy, bo alarmy jak były — tak były. Szczęściem w nieszczęściu, że stosunkowo często „przeczuwaliśmy" te nocne manewry i na tę to intencję szliśmy spać nietylko w drelichu ale nawet w butach, mając pod poduszką karabin, pas z ładownicami, furażerkę i cały nasz bagaż, niepomijając menażki; ale gdy nas „kiwnęli" — to koniec świata!! Czas na ubranie się jest bardzo ograniczony, więc też w namiocie wrze jak w ukropie. Smutnem następstwem tego, to fakt, że taki niewyspany junaczek włożył spodnie sąsiada z prawej strony, skarpetki i buty sąsiada z lewej strony, a resztę garderoby częściowo własnej albo przesłanej „pocztą lotniczą" z drugiego końca namiotu. Z tego więc widzicie Szanowni Czytelnicy, że niebardzo byliśmy wygalantowani, ale grunt że z humorem. W chwilę później maszerujemy na ćwiczenia, bardzo miłe, o czem niech świadczy chociażby ten krótki epizod. Odbywaliśmy ćwiczenia t. zw. „podsłuchowe", polegające na tem, że ukryci w pewnej odległości od głównej szosy, mieliśmy za zadanie odróżnić zbliżający się oddział „nieprzyjaciół", jadący

Złote myśli

Miło, gdy piękną treść, piękny wierzch kryje,
I tem wspanialsza, tem więcej jest warta
Złota myśl w złotej oprawie zawarta.

Schakespeare.

wóz, tętent koni. i. t. d. Noc była prześliczna, księżycowa, przyczem nadzwyczaj ciepła. Nic też dziwnego, że gdy nam kazano się kryć, to każdy tak się ulokował, aby najwygodniej w świecie — się przespać. Skutki jednak były opłakane których wspomnienie, jeszcze dzisiaj wyciska nam „krokodyle łzy" z oczu; bo proszę sobie wyobrazić, ledwie oddaliśmy się słodkiemu Morfeuszowi, a tu ciszę nocy przerywają nieszczęsne odgłosy zbliżających się „nieprzyjaciół". Kto się zbudził klął stujęzycznie, ale reszta spała. Dopiero po pewnym czasie kiedy nasz „szefuncio" zaczął objaśniać znaczenie ćwiczenia. odpowiedzią na jego prawie pięciominutową perorę było dosyć niegrzeczne chrapnięcie jednego z uśpionych słuchaczów. Za to też nawet nam się spać odechciało, bo dla „szybkiego otrzeźwienia" musieliśmy się czołgać „pod osłoną nocy do obozu nieprzyjaciół" (tak brzmiał rozkaz) aż do kompanijnych namiotów. Tylko porządnie wyszmelcowany drelich i zgubiony przez jednego z kolegów chlebak z forsą przypomniał nam nazajutrz, wczorajsze walcowanie, przeważnie zresztą pustych żołądków.

Tyle o Hermanicach. Dobrze nam było mimo wszystko i wesoło. Nikt z nas napewno nie żałuje tych dwóch tygodni tam spędzonych a teraz, gdy czasem w myśli przebiegnę przestrzeń dzielącą mnie od tych stron, doznaję dziwnego uczucia żalu. I wtedy staje mi przed oczyma tak kochany „szefuncio", tak elokwentny p. prucznik, tak służbowy„ i letko do tyłu wysunięty, z „pretencyją" kapral Braszczok,jak również, dwukrotnie od muz poezji i muzyki kopnięty Pawełek, albo służbista — drużynowy Leonek. Wszystko to pozostawia nam długo niezatarte wrażenia „naszych hermanickich czasów".

Be — Ka.

Humor i piosenka*) lwowskiej ulicy.

Najwierniejsze i najdroższe sercu nietylko każdego Lwowianina, ale też Polaka jest bezsprzecznie miasto Lwów. Stary ten bostjon polskości, który dzięki czynom swoich mieszkańców otrzymał w XVII wieku zaszczytne miano: „przedmurza chrześcijaństwa i wszystkiego co polskie". Drugą zaszczytną nazwę, jaką Lwów otrzymuje to: „Leopolis mater ingeniorum" — i słusznie, bo miasto to było i jest matką talentów. Co więcej — Lwów był ogniskiem polskiej myśli twórczej. To też w pamiętnym roku 1918/19 gdy Lwowi grozi oderwanie od macierzy, w całej potędze okazuje się bohaterskość tego miasta. Ale, nie o tem chciałem pisać. Chciałem pisać o tym beztroskim humorze Lwowa. Humor lwowski jest wiecznie żywy i co najważniejsze, niekłamane.

— — — — — — — — — — — — —

Nie dziw więc, że w tem mieście zrodził się Szczepko i Tońko, dwa typy lwowskiego batiara. „A lwowski batiar to nie tyle co „chrzanowski agar", ale człowiek, który posiada poczucie honoru i cały kodeks zasad towarzyski. Ściśle z osobą batiara lwowskiego związana jest piosenka lwowskiej ulicy. Kolebką jej są lwowskie przedmieścia — Łyczaków, Zamarstynów, Gródek, Autorem — ten i ów bezimienny „rycerz mroku, treścią jej są tragedje miłosne (nfl). Czasem bywa to hymn pochwalny „bohaterskich" czynów autorów lub ich kompanów, przeważnie piosenka jest humorystyczna, którego ofiarą pada „glina" (policjaut) lub jakiś „frajer", to jest taki miejski łazik z zaprasowanemi „na kant" spodniami, który wieczorem nie pokazywałby swego nosa na przedmieściu.

Czasem historja ta jest straszna i do głębi przejmująca n. p. taka:

. . . „na lwowskim magistraci
wisi „ glina" na szpagaci
dynda w lewo, dynda w prawo,
a publika biji brawo! . . ."

Wesoła kompanja idzie bandą i podśpiewuje sobie o tem, jakmijając Bernardyński plac, palnęła po „ baniaku" (meloniku) jakiegoś gościa ot tak dla hecy, bo przecież —

„. . . nic mu si ni stału
bo un hojrak jakich mału". . .

Czasem też treścią piosenki, lwowskiej ulicy są „trochę" nieprzyjemne historje jej twórców, wówczas rozlega się żałosna ballada „ rycerza

mroku,“ z której dowiadujemy się, że —

„wczoraj byłem na wolncści
przy piciu, jedzeniu,
dzisiaj jestem zasmucony
bo siedzę w więzieniu ...“

Dodać jeszcze muszę, że lwowskie więzienie zwane jest pospolicie we Lwowie „brygidkami“.

— — — — — — — — — — — — —

Tyle wam kochane „cabany“ powiedziałem o lwowskiej piosence i idę spać, by usnąwszy znaleźć się ... na Łyczakowie lub na Pohulance

trawiony nostalgją
„Baniak“.

---

* Redakcja, aby artykuł niniejszy był zrozumiany, dodaje, że w naszem Gimnazjum są uczniowie z różnych dzielnic Polski, autor zaś powyższego ukochanego przezeń Lwowa.

Dział ROZRYWEK UMYSŁOWYCH

Rozwiązania z Nr. 1.

1 Logogryf balonowy:

Gordon Bennett.

Gaz, Polska Burzyński, Wodór, Gondola, Lina, Balon, Charles Hynels, Polonja, Belgica, Demuyter, start.

2 Uszkodzony rękopis.

Wierzaj w serc ludzkich piękność idealną,
I tą pięknością karm się i napawaj
I rosę uczuć zbieraj niewidzialną,
Lecz swego szczęścia na próbę niedawaj,
I niedoświadczaj tych uczuć trwałości
Które ci sączy słodki sen miłości,

Adam Asnyk

3 Konikówka.

Cierpi człowiek, bo służy sam sobie za kata,
sam sobie robi kata i sam się w nie w plata.

4 Szarada: matematyka.

5 Liczbówka literacka

iksy: Jerzy Lord Byron
kółka: kain

Ujejski, Sùderman, Vergilius, Barther, Asnyk, Milton, Sofekles, Schùler, Dande, Ibsen, Shelley, Karpiński Cerneille, Lessing.

Rozwiązania nadesłali:

Kuczek M.	21 Pkt.
Stachyra M.	20 Pkt.
Wałek W.	17 Pkt.
Zmara	12 Pkt.

Odpowiedzi Redakcji.

Z. Łysakowska kl I. G. Ż. — Wiersz bardzo dobry, jesteśmy zdumieni Prosimy o dalszą współpracę.

Bursak J. W. Wiersz „Jesień“ zupełnie dobry, nie pójdzie z tego tylko powodu, że już wcześniej mieliśmy podobny. Natomiast wiersz „Góry“ pójdzie w następnym numerze. Dziękujemy za wydatną pracę, prosimy o jeszcze.

F. F. Wiersz „Beskid“ jeszcze nieco słaby; nad artykułem natomiast trzeba trochę więcej popracować — temat bardzo wdzięczny.

D. E. Pseudonim nawet bardzo dobry, ale artykuł jeszcze słaby.

St. Sieniawski I a. — Rebus dobry, nieumieszczony ze względów oszczędnościowych — prosimy o coś innego.

W. — Za nadto zawiłe.

Z. E. VIII a. Dobre, — umieścimy w następnym numerze.

J. Oferta na marszałka dobra. Wielka szkoda, że nas ubiegła władza. Byłby to jedyny marszałek,

---

KOMITET REDAKCYJNY: Batkówna K., Dec. E., Drbont Z., Kogutówna J.. Lesiecka M.. Proskowiecka J. Mekrosz E.

Czcionkami Polskiej Drukarni Przemysłowej w Jaworznie.